

Michael Erdödi.

Odwet.

I.

Spojrzał na zegarek. Wpół do 9-ej. Za pół godziny pociąg nadejdzie. Włożył kapelusz i wyszedł.

Blady księżyc królował na firmamencie. Cisza wokół. Wieś już spała.

Z oddali błyszczały światła dworca kolejowego. Wpatrywał się w nie. Woń akacjowych drzew lechtała mu nozdrza. — Wciągnął je w płuca. Ból ścisnął mu serce. Wczoraj o mały włos nie rozplakał się idąc tą drogą.

Onegdaj również.

Ze też akacje właśnie teraz kwitną!

Peron był jeszcze pusty.

Cieszył się, że nikogo nie spotkał. Usiadł na ławce wpatrując się w księżycową tarczę. W kasynie koledzy szepotali pomiędzy sobą:

— Coś się święci.

— Ma rewolwer przy sobie.

— Zachowuje się już teraz, jak gdyby kogoś zamordował. Unika ludzi.

— Nie można odezwać się do niego.

— Nic nie mówi, nigdy nie rozmawia.

— Jakaś tajemnica w tem tkwi.

— Zbadam tę sprawę — zadeklarował Karol.

— Nielatwo!

— Zdajcie to na mnie.

Wstał, wyjął z ust fajkę, wetknął do kieszeni i poszedł na dworzec. Na gościńcu uderzył go zapach akacji.

Do diabła z tem zatrząsieniem akacji...

II.

Siedział ciągle jeszcze na ławce ze wzrokiem utkwionym w księżyc.

Przestraszył go denerwujący stukot telegrafu z sąsiedniej kancelarii.

To był znak, że pociąg nadchodzi. Doznał uczucia, jak gdyby niewidoczne koła pociągu gniotły mu serce.

Niepokój go ogarnął. Zerwał się z ławki.

Wtem ktoś poklepał go po ramieniu.

— Co tu robisz?

Wpatrzył się. Nie poznał kolegi. Chciał przemówić, odpowiedzieć, ale to niespodziewane dotknięcie wyprowadziło go z równowagi.

Skinał tylko głową.

— Oczekujesz kogoś?

— Tak.

— Razem czekajmy.

Wzruszył ramionami.

— Na kogo czekasz?

Milczenie.

Karol wyjął fajkę, nabił tytunem i zapalił.

III.

— No... więc... co powiesz?

Milczenie.

Karol zniecierpliwiony:

— Ej... dam znać policji.

— O czym?

— Tak, fak... Nosisz rewolwer przy sobie... wiemy o tem... już od tygodnia co

wieczóra czatujesz na pociąg z Budapesztu... Kogo chcesz zabić?

Roześmiał się.

— Moje marzenia...

Karol zajął mu w oczy.

— Opowiedz mi.

III.

Koledzy niepokoił się już.

— No co?

— Głupstwo, niema o czym mówić — mówił Karol — nie warto było chodzić...

Otoczyli go.

— Jego narzeczona wyszła za innego zamąż. To wszystko. Ślub odbył się w Budapeszcie. Stamtąd oczekuje pociągu. Tędy mają państwo młodzi przejeżdżać...

— Czego chce od nich?

— Nic. Chce tylko roześmiać się jej w oczy. Pokazać, że nie cierpi, że nic go ona nie obchodzi... Będzie się śmiał, choćby mu serce miało pęknąć z bólu... Ma to być odwet... Chce zadrasnąć jej próżność... To więcej boli, niż kula — powiada...

— Oszałał...

— Rzeczywiście... skończony warjat...

IV.

Podszedł do szyn.

Stalowe sztaby błyszczały w poświacie księżycy.

Z dali dochodził już turkot pociągu.

Miał uczucie, jak gdyby mu serce pod kolanami zgrzytało.

Już widać światła lokomotywy...

Dym wzbija się ku niebu...

— Krystyna... Krystyna...

Wydało mu, że lokomotywa również szepcze:

— Krystyna.....

Krótki, ostry gwizd.

Pociąg wpadł na stację.

— Warburg, jedna minuta — wołał konduktor.

Tak. Dla niego jedna minuta jest wszystkim. Czy ten konduktor wie, co to jest taka jedna minuta?

Wzrok jego przebiegał jak ognista pochodnia — szereg okien wagonowych.

W blasku światła szukał jasnej główki Krystyny.

Znalazł...

Za nią mężczyzna w cylindrze.

Wyprostował się jak struna...

— Jedyna chwila... przedzej... Zajrzyj jej tylko w oczy i zaśmiej się... Śmiej się jak człowiek, co nie cierpi... śmiej się... pokaż jej, żeś mężczyzna... mężczyzna... arcytwór natury... pan świata...

Posunął się o krok naprzód...

Wówczas...

O uszy jego obił się dzwicznie brzmiały głos.

Cała gama trelowych tonów... Coraz... coraz głośniejsza.

Krew uderzyła mu do głowy.

Grymas bólu skaził mu oblicze.

Krystyna... jej śmiech...

Zacisnął pięści.

Wściekłość nim miotła.

Wargi do krwi zagryzł.

W oczach łzy zabłyśły.

A Krystyna tymczasem śmiała się... zanosiła się od śmiechu...

Odszedł i odwrócił się od pociągu.

Puścił wodze fantazji.

Rozgorączkowany mózg snuł wizje.

Tam przy nakrytym stole Krystyna obcemu mężczyźnie opowiada wszystko...

I śmieje się...

Zaśmiewa się...

To mu nawet zabrała...

Śmiech...

Jedyną jego broń...

Ostatnią...

Odarła go ze wszystkiego...

Do cna go odarła...

Nic mu nie pozostało w życiu...

Jest nędzarzem...

Samotnym...

Z krwawiącym sercem...

Kiedy znowu spojrzał na plant kolejowy, pociąg już mknął w dal świecąc jaskrawymi blaskami restauracyjnego wagonu.

I to znikło za chwilę.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III

ŁÓDŹ, dnia 31 października 1926 roku.

Nr. 44.

„Balladyna” w Teatrze Miejskim.



W ubiegłym tygodniu Teatr Miejski wystawił z piętyzmer „Balladynę—tragedję Juliusza Słowackiego, święcąc niebывały triumf reżyserji, gry całego zespołu artystów i dekoracji. Na zdjęciu fantastyczna scena z aktu drugiego tego arcydzieła.



Podczas dokonywania robót kanalizacyjnych przy ul. Killińskiego wydobyto olbrzymi granit epoki polodowcowej. Wykopalisko to znajdzie swe miejsce w muzeum.

Teatralja.

Premjery warszawskie. — Z teatrów zagranicznych. — Trochę statystyki. — Do czego służyć może sztuka... aktorska.

Wystawienie „Dziejów grzechu“ w Teatrze Polskim, oczekiwane ze zrozumiałym zainteresowaniem przez sfery artystyczne i publiczność stołeczną, było wspaniałym eksperymentem scenicznym, i z tego przedsięwzięciem punktu widzenia musi być rozpatrywane. Ten niezwykły eksperyment, nie notowany bodaj jeszcze w kronikach żadnego teatru, był jednocześnie rewją talentów i sił aktorskich oraz popisem sprawności inscenizacyjnej pierwszej sceny szymonowskiej. Czterdzieści trzy obrazy (43!), wykrojone z dzieła Żeromskiego, a zrealizowane w ciągu niespełna pięciu godzin, są świadectwem nie tylko wyjątkowych zdolności inscenizatora, p. Schillera, ale również dowodem nieograniczonych prawie możliwości dzisiejszego teatru, tudzież — wytrzymałości widzów. Kalejdoskop powieściowych dziejów Ewy Pobratymskiej i jej „grzechu“, świetnymi barwy błyszczący w dekoratorskim ujęciu p. Frycza, mimo wszelkie zaznaczone wyżej zalety scenicznego odtworzenia, nie może zastąpić — rzecz prosta — samej powieści, zamkniętej w określone konstrukcyjne ramy i spiętej myślą autorską, ginącą zazwyczaj i mierzchną w tego rodzaju scenicznych przeróbkach. Wizualność wrażeń teatru, zwłaszcza nosząca tak powabne zewnętrznie piętno, zaciążyć musi bezwarunkowo na stronie wewnętrznej dzieła; obfitość wzrokowego pokarmu osłabia albo wręcz niweluje zdolność refleksyj. Ciągłość narracyjnego wątku i prawda psychologicznych uzasadnień stają się czemś iluzorycznym albo zgoła zbędnym, zaś widowisko teatralne nabiera ości świetnego filmu, stając się jak gdyby kinematografem — mówionym.

Te uwagi ogólne nie osłabiają zresztą ani na jotę siły atrakcyjnej przeróbki „Dziejów grzechu“, na scenie Teatru Polskiego zrealizowanej. Odrzucając śmieszny pretekst, by powieść, choćby w ręku p. Schillera, stać się mogła — dramatem, podkreślamy całkiem obiektywnie sensacyjny zaiste sukces niepowszedniego przedsięwzięcia, które nieprędko przestanie przyciągać bardzo szerokie sfery publiczności. Z aktorów wymienimy, obok bohaterki p. Modzelewskiej (Ewa), p.p. Szamborskiego, Junosze-Stępowskiego i Boelkego, którzy zapałem i talentem odważnie dźwigają magnam partem ciężaru gigantycznej reprezentacji sceniczej.

P. Zelwerowicz, pozyskany dla Teatru Letniego, jak to już nieraz zauważyć było można, lubuje się w... antykach. Wystawiwszy w ubiegłym sezonie w Teatrze im. Bogusławskiego „Kapelusz słomkowy“ Labiche'a, tak sobie upodobał w tym klasyku krotoczwili francuskiej, że odkurzył obecnie egzemplarz „Podróż p. Perrichon'a“ i

zaprosił do niej aktorów teatru w Ogródzie Saskim. Zważywszy, iż ta „Podróż“ liczy sobie lat około 50 i z tego względu tempo jej mocno się kłóci z epoką radja i raid'ów (Warszawa — Tokio!) — nie zdziwimy się zbytnio, że dzisiejszemu widzowi komedijka Labiche'a bardzo mocno myszką trąci i, zamiast go bawić, często niecierpliwi. Poza samym p. Perrichon, tegim reprezentantem francuskiego epocier'stwa, na które, jak na pochyłe drzewo, sikakano w swoim czasie bez wytchnienia — „Podróż“ nie zawiera w sobie nic doprawdy godnego uwagi albo wybuchów wesołości. Parę dobrych pomysłów reżyserskich nie może ożywić komedji, tembardziej, że i wykonawcy humor mają jakiś zgaszony i zdławiony, widocznie — archiwalnym pyłem, unoszącym się gęstą chmurą nad Labiche'owską „Podróżą“. Najlepszym był p. Zelwerowicz w roli Perrichon'a; sprawa zupełnie jasna, gdy zważymy, że artysta ten grać źle — wogóle nie potrafi. Inna rzecz, że pewna rola leży na nim jak ulał, a druga — jak gdyby — ze starszego brata. Zresztą w różniczkowanie to bawić się nie będziemy, bo doprawdy okazja p. Perrichon'a nie jest bynajmniej po temu odpowiednia...

W Paryżu — naogół nie szczególnego, jeśli chodzi o teatry. Duże powodzenie zyskały sobie ostatnio dwie bezpretensjonalne sztuczki, o których parę słów niżej. To powodzenie jest w dużym stopniu miarą i wyrazem gustów przeciętnej paryskiej publiczności.

„Nasza miłość“ Fernanda Nozière'a („T. Antoine“) — to bulwarowa komedijka o melodramatycznym zakroju i banalnej, choć zrećnie przeprowadzonej intrydze. Pewien młody światowiec, René Jadin, zgrał się w karty do nitki; a że nie ma czem honorowego długu płacić, więc zamierza sobie w łeb strzelić. Na szczęście zjawia się młoda i piękna wdowa po amerykańskim milijarderze, z którą w swoim czasie, jeszcze przed jej zamążpójściem, łączyły René'ego węzły uczucia. Coś się tam wówczas nie powiodło, coś się rozchwiało. Ale w drugim akcie sztuki to dawne urazy idą w niepamięć — a w akcie trzecim następuje zupełne pojednanie i przebaczenie, wiodąc René'go i Francine'ę do ołtarza, co ułatwia oczywiście młodemu wietrznikowi dostęp do milionów zmarłego w porę Amerykanina. Wszystkie się więc jak najpomysłniej kończy, a midinetki wycierają łzy, obficie płynące wobec tych „nadzwyczajności“.

„Pora miłości“ Edmunda Sée („T. des Mathurins“) jest już komedją o mniej wyartym temacie, ujętym nawet z pewną finezją, a oscylującym często na krawędzi pomiędzy humorem, a powagą. Cała rzecz oparta jest na kontraście uczuć i zawiedzionych nadziei, a rozgrywa się pomiędzy ryśownikiem Farizet i jego przyjaciółką Miche oraz parą bogatych dorobkiewiczów p.p. Glorion, którzy „cygańskie“ stadło ratują z finansowych opresyj. Trochę miłosnego sentymentu, trochę melancholji rozczarowa-

wań krasi komedję p. Sée, mającą przytem za tło (szczegół nie bez znaczenia!) luksusową miejscowość nadmorską. Całość nie gorsza i nie lepsza od wielu innych.

Podajemy niżej za „Życiem Teatru“ interesującą statystykę teatrów polskich w bieżącym sezonie. Ogółem czynnych jest 36 teatrów, z czego 6 operowych i 2 objazdowe. Według poszczególnych miast polskich ogólna cyfra teatrów dzieli się jak następuje: Warszawa — 15 (wliczając w to i t. zw. „teatryki“); Łódź — 2; Lwów — 3; Poznań — 3; Kraków — 2; Katowice — 1; Wilno — 2; Lublin — 1; Grodno — 2; Toruń — 1; Bydgoszcz — 1; Grudziądz — 1; Płock — 1; Sosnowiec — 1; Kałisz — 1; Leszno — 1. Cyfry te bynajmniej nie wyglądają imponująco, a przytem zauważyć wypada, że kresy wschodnie, poza Wilnem i Grodnem, nie posiadają ani jednego teatru co nie jest bynajmniej dowodem naszej artystycznej przedsiębiorczości w okolicach kraju, najbardziej bodaj kulturalnie zaniedbanych.

Jak sprytnie zużytkować można sztukę aktorską charakteryzacji, o tem wesołą historję opowiadają pisma amerykańskie.

Pewien młody aktor nazwiskiem Deverry, postanowił sobie zzbogacić się możliwie szybko i „tanim kosztem“. W tym też celu nabył kawałek gruntu pod miastem Jamesville, a następnie, ucharakteryzowawszy się na starca przyjechał do swych — „włości“ i po kilku dniach rozpuścił pogłoskę, że na swym terenie odkrył źródło „odmładzające“. Nałwanych młodzi nie brak, więc pogłoska znalazła tu i owdzie wiarę. Dla przekonania zaś mądrzejszych Deverry usiłował codziennie częścią swojej starczej charakteryzacji, „odmładzał się“ i dowodził zdumionym obywatelom, że to „cudowna“ woda tak działa. „Źródło młodości“ otoczył sprytny aktor drutami kolczastymi, dla eksploatacji zaś założył towarzystwo akcyjne, które miało nabyć teren Deverry'ego. Po pewnych targach Deverry zgodził się na cenę kupna w wysokości 1 milion dolarów i transakcja była już bliska arcyzrywnienia, gdy zły przypadek popsuł wszystko. Oto w prasie Jamesville'u ukazały się dwie fotografie Deverry'ego: jako starca i jako młodzieńca (po rzekomem użyciu wody z „cudownego źródła“). Niestety, w parę dni później nadeszły wiadomości z Chicago, stwierdzające, iż „stary“ Deverry jest niczem innym jak doskonałą charakteryzacją kawalarza w graniej przezeń roli Shylocka z „Kupca weneckiego“...

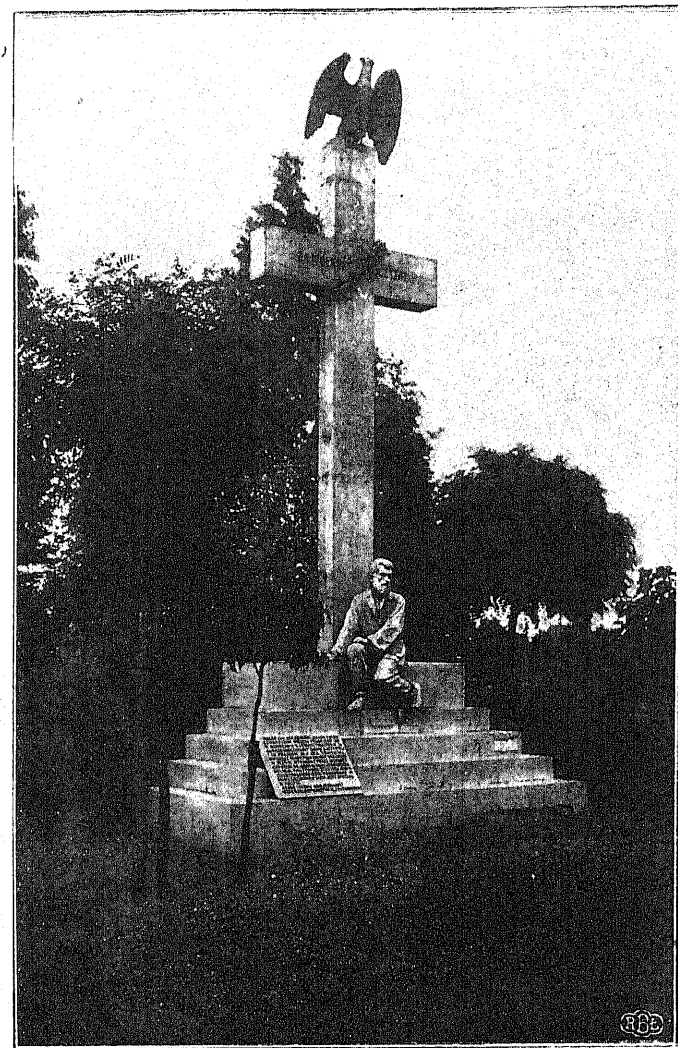
Tak więc lichy wzięło kombinację z — „eliksirem młodości“, zaś pomysłowy aktor-uciekać musiał natychmiast gdzie pieprz rośnie w obawie przed zlynchowaniem. Sic transit gloria mundi — i marzenia starców z Jamesville'u o odzyskaniu — młodości.

Delta.

Z pamiątek Polski.

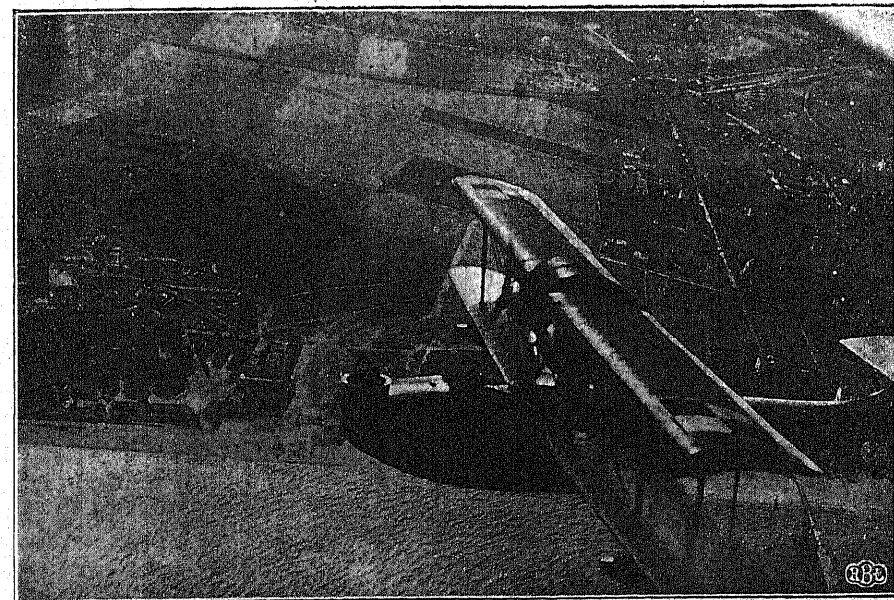


P. Horecka, utalentowana artystka Teatru Miejskiego odniosła nowy sukces w tytułowej roli „Balladyny“.

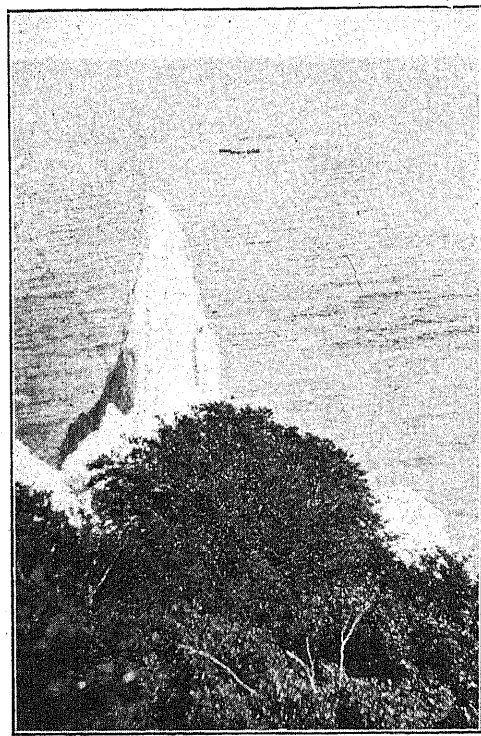


Małoznany pomnik Łukasiewicza pod Zgierzem.

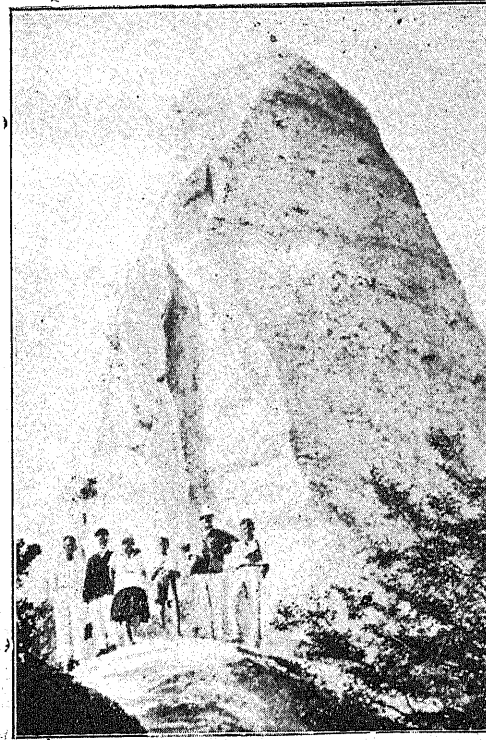
Perła polskiego morza z lotu ptaka.



W ub tygodniu urządzone zostały ćwiczenia hydroplanów polskich nad wybrzeżem Bałtyku. Jednemu z pilotów udało się dokonać tego arcyciekawego zdjęcia Gdyni.

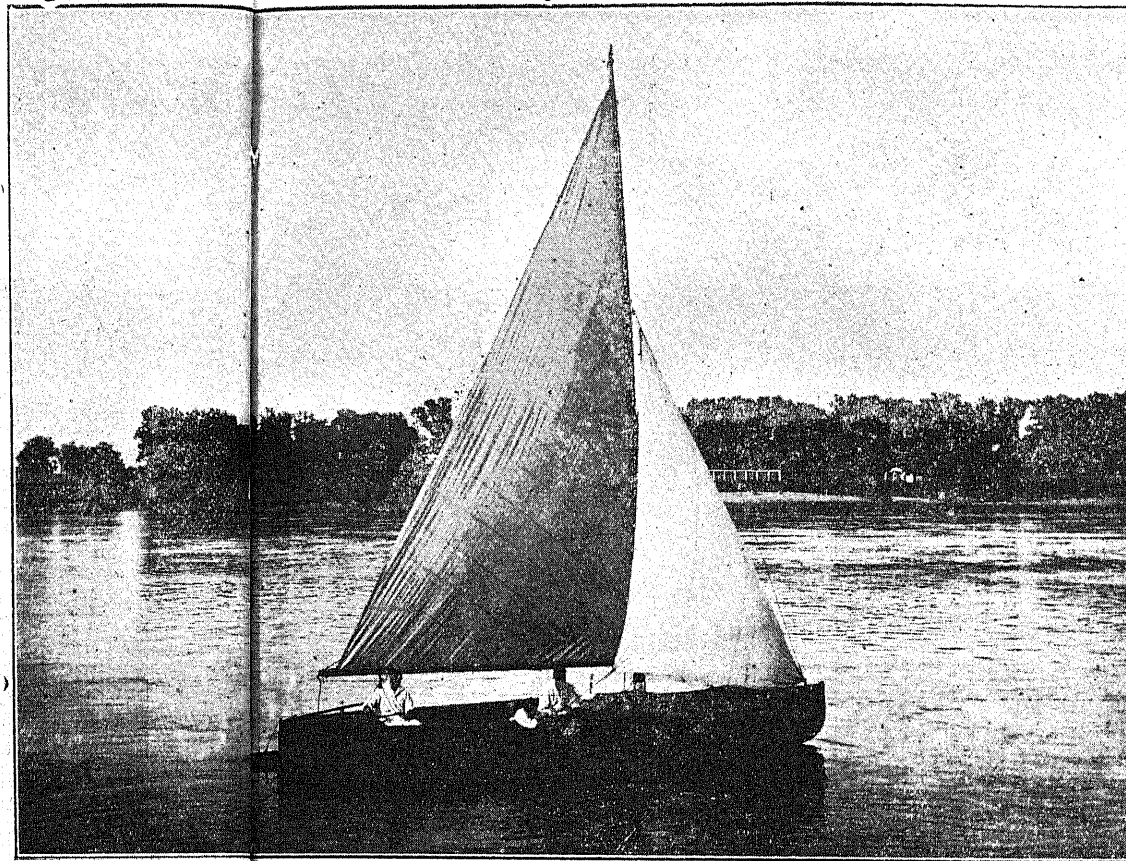


Skała zwana „głową cukru” na wyspie Moen.



Załoga „Doris” w górach kredowych.

Z Warszawy do Danji.



Jacht „Doris”, na którym dyr. Szwykowski wraz z synami i córką odbył podróż z Warszawy do Danji w ubiegłym miesiącu.



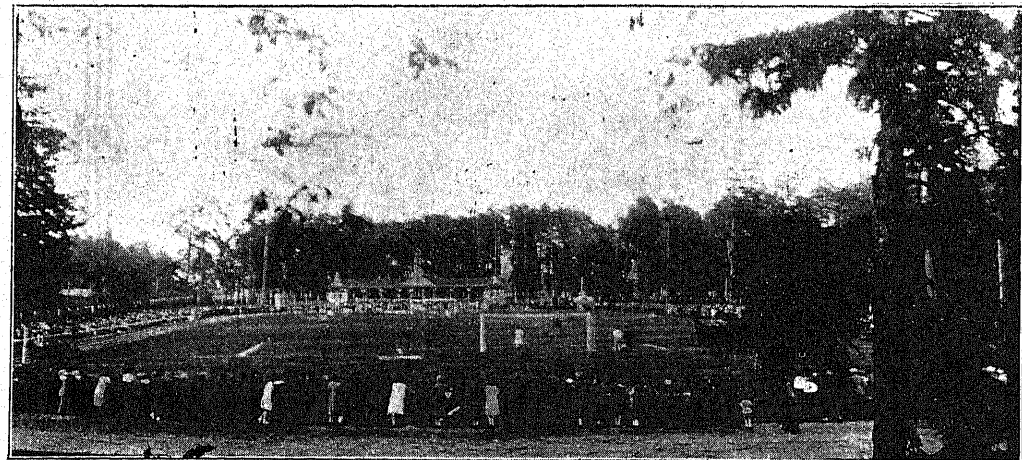
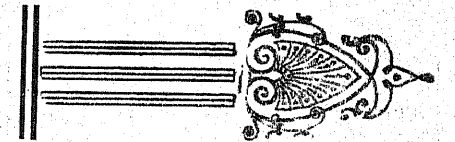
Frejer (Polonja), najgroźniejszy przeciwnik Sawaryna w biegu na przełaj



Dzieci dyr. Szwykowskiego przy pracy na pokładzie „Doris”.



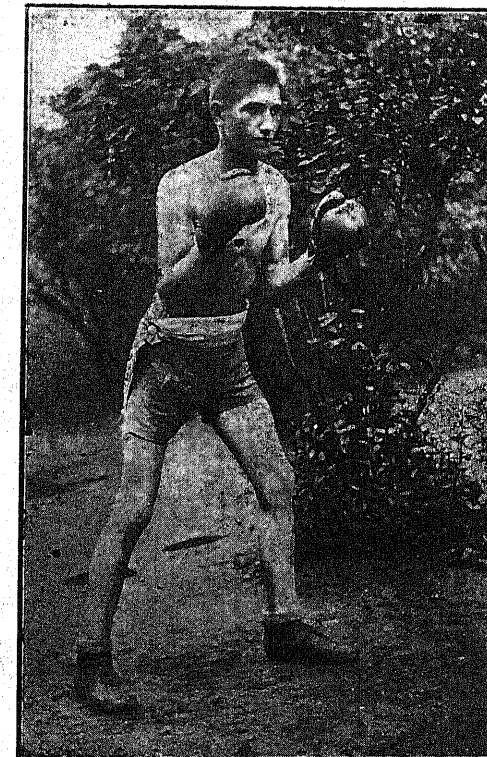
Rodzina dyrektora Szwykowskiego na pokładzie „Doris”.



Ogólny widok nowootwartego, wspaniałego boiska w Biłymstoku, którego nie powstydziałaby się stolica.



Halina Konopacka, rekordzistka światowa w rzucie dyskiem, jedna z najlepszych sportowców polskich, ustawiona została do odznaczenia wżem zasługi”.



Górny, bokser Mistrz—Polski i Górnego Śląska w wadze koguciej usilnie trenuje celem skutecznego zmierzenia się z mistrzem Niemiec.

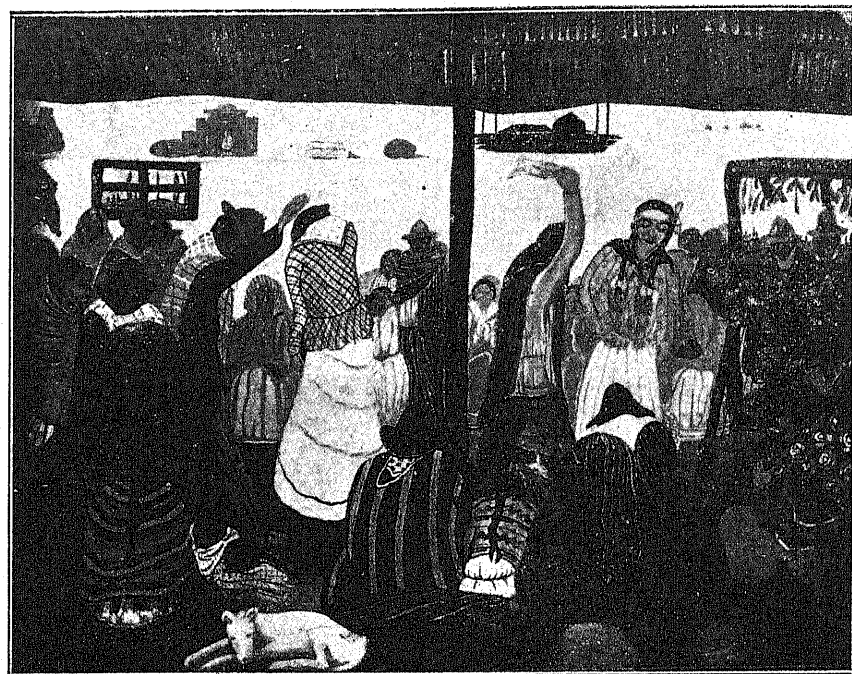


Hynryk Cochet, 24 letni tenisista francuski mistrz świata w singlu i dublu w r. 1913, posiadający najpiękniejszy smash, wrócił do swej świetnej formy bijąc amerykanina Richards'a.

Argentyńska sztuka malarska.

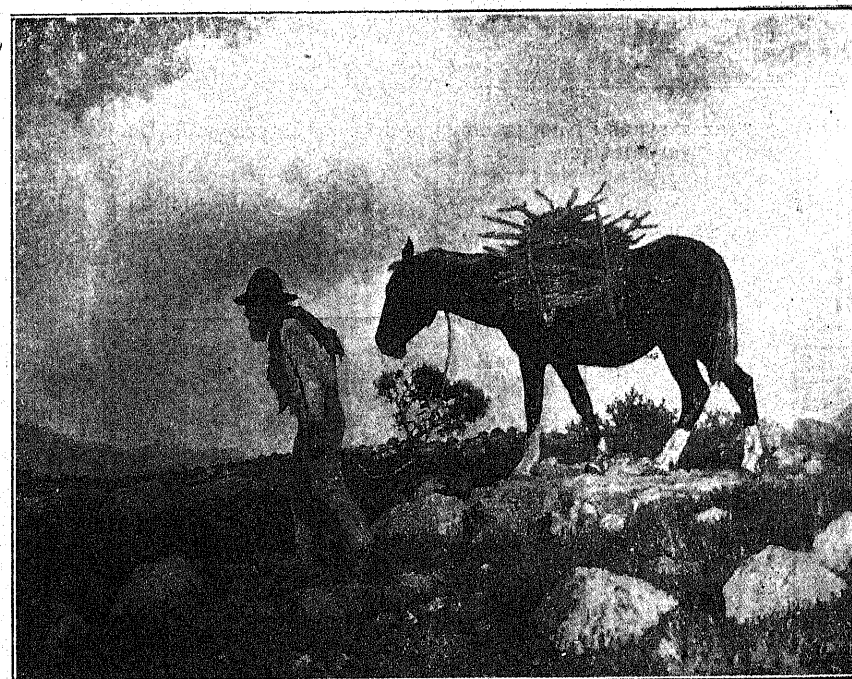


Rila Kerdi znakomita artystka teatryku rewjowego w Sztokholmie, talentem swym żywo przypominająca naszą Pogorzelską odrzuciła otrzymane engagement do wytwórni filmowej.



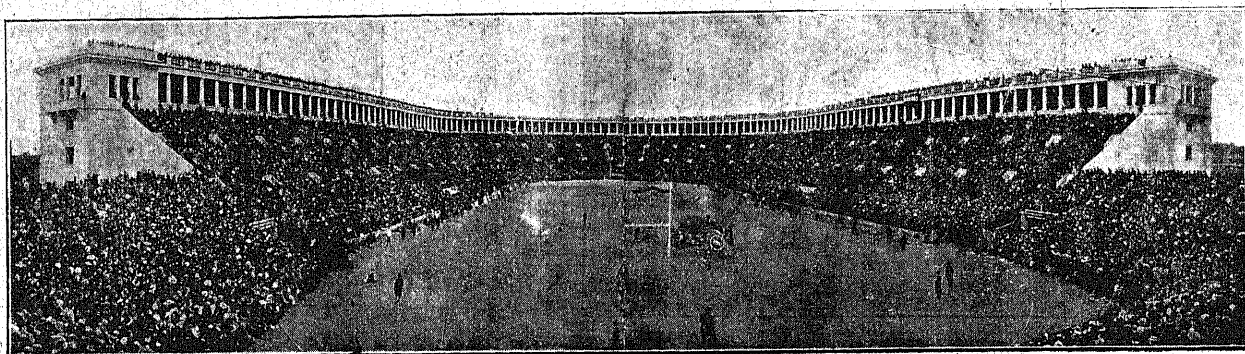
Wizje.

Majoric.



W drodze.

Majoric.



Obrzymie boisko sportowe w Nowym Jorku podczas meczu rugby, przepelnione tysięcznymi rzeszami publiczności.

Karol Szymanowski,



Znakomity kompozytor polski stworzył nowe dzieło operowe p. t. „Król Roger”.

P. Kościałkowski,



nowy prezes Sejmowego Klubu Pracy, wybrany na miejsce obecnego min. oświaty, p. Bartla.

P. Majdrowiczówna,



utalentowana artystka scen polskich wybija się na czoło sław teatralnych.

Jan Kiepura,



polski Battistini święci triumfy w partji „Jontka” z „Halki” w operze wiedeńskiej.

LORD DUNSANY.

Po Kaźni ciała.

Rozbójnik Tom odbył swoją ostatnią przejażdżkę i oto samotny był tej nocy. Stamtąd, gdzie obecnie się znajdował można było dostrzec szalasy, uśpione białe owce, czarne obrzeża samotnych pagórków, a w dali szare zarysy gór poprzecinane głębokimi kotlinami, chronione przed wichrem bezlitosnym i smugi dymu, wybuchające z zapadłych tam wiosek.

Lecz dla oczu Toma cały ten krajobraz był równomiernie czarny, a dla jego uszu, wszystko wiecznym milczeniem. Jeno dusza jego rwała się z żelaznych łańcuchów, chcąc poszybować w dal, na południe ku wrotom raju.

A wicher dał i dał.

Nocy dzisiejszej wierzohowcem Toma wicher był. Odebrali mu jeszcze za dnia jego czarnego, wiernego konia, a potem wzięli i te pola zielone, i błękit nieba, i mężczyzny głosy, i kobiet uśmiechy i zostawili go samego z łańcuchem na szyi, aby się tak ciągle w tej wichurze kołysał.

A wicher dał i dał.

Więc dusza Toma rabusia rwała się z pęt; ale kiedy starała się w dal wymknąć wicher włączał ją napowrót w żelazną obręcz, ten wicher, który wieje zawsze z południowych krańców samego raju. Kiedy tak dyndał w tym żelaznym kołnierzu na karku, opadł z jego wargi wszystek stary, szderczy uśmiech i owe drwiny przeciw Bogu, które od tylu lat język z nich wyrzucał; a z zepsutego serca uszły wszystkie ohydne żądze, zaś z palców zniknęły wszelkie plamy złych jego czynów. Wszyst-

ko to upadło na ziemię i konało w wypływających bryłkach.

A gdy wszystkie te rzeczy z łona już opadły dusza jego stała się tak czysta, jako ta jego pierwsza miłość, którą znalazł w czas swojej wiosny, i jeła potrząsać jego szczątkami ziemskimi i łańcuchami opończy i zardzewiałym łańcuchem.

A wicher dał i dał.

Na skrzydłach jego drogą do raju przeciągały dusze tych, których ciała zostały pogrzebane w poświęconej ziemi i trącały duszę Toma, uwieczoną tak haniebnie.

Noc w noc pilnował Tom pustymi oczodołami owce na pagórkach, aż do tej chwili, kiedy to odrosły mu dziwnie włosy i nakryły biedną martwą twarz i ten jego przed owcami wstyd.

A wicher dał i dał.

Czasem przybłąkiwały się z podmuchem wichru jakoweś czyjeś lzy i były, były w żelazną obręcz, ale jej przerdzawić nie mogły.

A wicher dał i dał.

Co wieczoru przyplływały wszystkie myśli, — jakie kiedykolwiek urodziły się w mózgu łona, a potem żyły w jego dziełach tych nigdy nie kończących się. Siadały na ramieniu szubienicy i zagadywały duszę jego, nie mogąc się wyzwoić. Wszystkie myśli, które on ongiś wypowiadał, te złe szarpały duszę, tę duszę, będącą ich przytuliskiem, wszakże i im nie była śmierć pisana.

Za to te myśli urzeczywistniane w najgłębszej tajemnicy, te najprzeróżniejszej skręcały, przez calutką noc na ramieniu szubienicy.

Te zaś wszystkie dumne myśli, które Tom w sobie przemyślał, wskazywały na jego wilgotne kości, natrzasały się z brudnych łańcuchów, drwiły ze starej opończy.

Jeno te uczucia serdeczne, któremi ochraniał przyjaciół były jedynymi towarzyszami, jacy biedną jego duszę uspokajali, w one wichrowate noce. Szepotały coś, pocieszały, te małe, nieczne stworzenia, nie mogące już mieć żadnych snów.

A wicher dał i dał.

Paweł, świętobliwy arcybiskup z Alois i Vayence leżał w swym marmurowym grobowcu, twarzą właśnie zwróconą ku południowej stronie raju. Na jego grobie stał krzyż z pięknie rzeźbionym Chrystusem i na nim to znalazła oparcie i spokój dusza arcybiskupa. Tutaj wicher nie przelatywał z takim pędem huraganowym, jak to czynił tam, hen, na wzgórzu śmierci. Jeno czarowne powiewy, pachnące sadem nieznanych krańców, z raju, pieściły niezapomnianki i trawę rosnącą na tej pachnącej ziemi, w której leżały ciała pobożnych, obok grobowca Pawła arcybiskupa z Alois i Vayence.

O jakżeż łatwo było ludzkiej duszy wysunąć się z takiego grobu i poprzez przebiec pola, dotrzeć do ogrodów raju i użyć tam wieczny spokój.

A wicher dał i dał.

Tłum. R.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 7-go listopada 1926 roku.

Nr. 45.

Prochom poległego bohatera.



W ubiegłym miesiącu odsłonięty został na starym cmentarzu katolickim w Łodzi wspaniały pomnik ś. p. kapitana Grzymały-Pęczkowskiego, kawalera krzyża „Virtuti Militari” i „Walecznych”, który zginął bohaterską śmiercią pod Radzyminem w walce z Bolszewikami w sierpniu 1920 roku. — Pomnik wykonał artysta—rzeźbiarz W. Konopka

Zespół uczenic Tacjanny Wysockiej.



P. Tacjana Wysocka, mistrzyni szkoły tańców plastycznych i rytmicznych w Warszawie, będzie prowadzić wykłady w szkole rytmiki i plastyki p. Janczewskiej. Zdjęcie nasze ilustruje taniec zbiorowy stołecznych adeptek Terpsychory.